

FOUL  
LADY  
FORTUNE

A black and white illustration of a classic perfume bottle. The bottle is dark and rounded with a decorative stopper. It is adorned with several sprigs of small, light-colored flowers and green leaves, which are wrapped around the neck and body of the bottle. The bottle is positioned to the right of the text 'LADY' and partially overlaps the text 'FORTUNE'.

運

CHLOE GONG



FOUL  
LADY  
FORTUNE

NIKCZEMNA FORTUNA

Przełożyła Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *FOUL LADY FORTUNE*

First published by Margaret K. McElderry Books. An imprint of Simon & Schuster  
vChildren's Publishing Division.  
An imprint of Simon & Schuster  
Children's Publishing Division

Text © 2022 by Chloe Gong  
Jacket illustration © 2022 by Skeeva  
Jacket design © 2022 by Simon & Schuster, Inc.

Redakcja: Marta Tojza  
Korekta: Renata Kuk, Małgorzata Starosta  
Skład i łamanie: Robert Majcher  
Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-216-0

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK  
Wydrukowano na papierze Creamy 60, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

MOIM BABCIOM I CIOTECZNYM BABCIOM

謹此獻給我的阿娘、外婆，  
和我的小阿奶、二姨婆、小姨婆



*Czas krok zmienia wraz ze zmianą osób.  
Powie ci, z kim czas idzie stępa; z kim czas idzie klusem;  
z kim czas idzie galopem, a z kim nie rusza się wcale.*

*– William Szekspir, Jak wam się podoba  
(przekł. Leon Ulrich)*





## PROLOG

ROK 1928

Z dala od ludzkich osad nie ma znaczenia, jak głośno krzyczysz. Głos rozchodzi się po magazynie, odbija się echem od wysokiego sufitu, rozszerza w przestrzeni i ucieka w ciemność nocy. Na zewnątrz stapia się z wyciem wiatru i staje częstką szalejącej burzy. Żołnierze przy wejściu do magazynu poruszają się nerwowo i zasuwają ciężkie drzwi, aż zamykają je całkowicie; ulewa zdążyła już pozostawić wewnątrz na betonie półkolisty ślad. Z oddali dobiega ledwie słyszalny gwizd pociągu. Chociaż ryzyko, że mógłby się tu pojawić jakikolwiek przypadkowy świadek, jest nieskończenie małe, mają jasne rozkazy. Pilnować placówki. Nikt nie może się dowiedzieć, co się tutaj dzieje.

– Jaki jest ostateczny wynik?

– Sukces. Myślę, że odnieśliśmy sukces.

Żołnierze są rozproszeni pod ścianami magazynu, ale na samym środku, przy stole, stoi dwójka naukowców. Wpatrują się obojętnie w leżący przed nimi obiekt eksperymentalny, przywiązany grubymi pasami i z czołem mokrym od potu. Kolejne konwulsje wstrząsają

obiektem od stóp do głów, ale jego głos zachrypił już od krzyku, więc usta otwierają się tylko szeroko i bezgłośnie.

– W takim razie to działa.

– To działa. Ukończyliśmy pierwszy etap.

Naukowiec wkłada ołówek za ucho i daje znak żołnierzowi, który podchodzi do stołu, żeby rozpiąć pasy: najpierw wszystkie po lewej, potem wszystkie po prawej.

Jarzma opadają na podłogę z metalicznym szczękiem klamer. Obiekt próbuje przewrócić się na bok, ale w panice porusza się zbyt gwałtownie i spada ze stołu. To okropny widok. Rozciągnięty u stóp naukowców obiekt próbuje zaczerpnąć oddechu – próbuje i próbuje, jakby nie potrafił prawidłowo napełnić płuc i jakby już nigdy nie miało mu się to udać.

Dłoń dotyka jego głowy; delikatnie, niemal z czułością. Naukowiec podziwia swoje dzieło, z uśmiechem gładząc włosy obiektu.

– Wszystko w porządku. Nie walcz z tym.

Pojawia się strzykawka. Igła lśni w świetle padającym z wysoka, tłok zostaje wciśnięty, a czerwona substancja znika pod miękką skórą.

Ból przychodzi natychmiast: płynny ogień trawiący wszystkie nerwy na swojej drodze. Niedługo dotrze tam, gdzie powinien, a wtedy obiekt poczuje się, jakby się rozpadał.

Na zewnątrz dzwoni ulewa. Przecieka przez szczeliny w dachu magazynu, tworząc coraz większe kałuże.

Naukowiec ponownie gładzi obiekt z czułością.

– Jesteś moim największym osiągnięciem, ale dokonamy jeszcze więcej. Na razie jednak...

Obiekt nie jest w stanie utrzymać otwartych oczu. Osłabienie zmienia kończyny w ołów, myśli mającą jak statki przepływające we mgle. Chce coś powiedzieć, coś wrzasnąć, ale nie może ułożyć słów.

## NIKCZEMNA FORTUNA

Naukowiec pochyła się, żeby wyszeptać mu do ucha jedno słowo,  
zadać ostatni cios, który przecina mgłę precyzyjnie jak ostrze:

– *Oubliez.*



## ROZDZIAŁ I

### WRZESIEŃ 1931 ROKU

**N**a korytarzu pociągu jedynym dźwiękiem było dobiegające od dołu dudnienie. Zapadł już zmrok, ale co trzy sekundy okna rozjaśniały się pulsującym blaskiem latarni zainstalowanych wzdłuż torów, który zaraz potem znikał, pochłonięty szybkością jazdy. Gdzie indziej ciasne przedziały pozostawały pełne złotego blasku żyrandoli i dzwonienia sztućców na wózkach kelnerskich, szczęku łyżeczek uderzających o krawędzie filiżanek i światła kryształowych lamp.

Tutaj, w korytarzu wagonu pierwszej klasy, rozległo się tylko nagłe zgrzytnięcie drzwi otwieranych przez Rosalind Lang, która weszła w półmrok, stukając obcasami.

Obrazy spoglądały na nią ze ścian świdrującym wzrokiem. Rosalind niosła przed sobą pudełko, przytrzymując starannie jego brzegi dłońmi w skórkowych rękawiczkach i przyciskając łokcie do boków. Gdy zatrzymała się przed trzecimi drzwiami, delikatnie zastukała w nie butem.

Minęła chwila, w której słychać było tylko sapanie parowozu. Potem po drugiej stronie rozległo się ledwie słyszalne szuranie i drzwi się otworzyły, zalewając korytarz światłem.

– Dobry wieczór – powiedziała grzecznie Rosalind. – Czy znalazłby pan dla mnie chwilę?

Pan Kuzniecowa popatrzył na nią, marszcząc brwi i próbując zrozumieć, o co może chodzić. Rosalind od kilku dni starała się o spotkanie z rosyjskim handlowcem. Bez powodzenia koczowała w Harbinie, wytrzymując lodowatą pogodę, a potem pojechała za Rosjaninem do położonego dalej na południe Changchun. Tam podwładni handlowca także nie odpowiedzieli na jej prośby i sprawa wydawała się całkowicie przegrana – wszystko wskazywało na to, że pozostanie jej najmniej wygodna droga – aż nagle Rosalind dowiedziała się, że Kuzniecowa wybiera się w podróż koleją i wykupił bilet na pierwszą klasę, w której przedziały były wielkie, a sufity niskie. W tej części pociągu prawie nie było ludzi, a bardzo grube ściany tłumiły dźwięki.

– Wezwę moją ochronę...

– Och, proszę nie być niemądrym.

Rosalind weszła bez zaproszenia. Prywatne przedziały pierwszej klasy były na tyle obszerne, że mogłaby zapomnieć, iż znajduje się w pociągu... gdyby nie kwieciste tapety na ścianach, drżące za każdym razem, gdy koła wagonu natrafiły na nierówność na szynach. Rosalind rozglądała się jeszcze przez chwilę, szczególną uwagę poświęcając prowadzącej na dach kłapie oraz oknu na końcu pomieszczenia z zaciągniętą żaluzją, pozwalającą odgrodzić się od szybko przesuwającej się na zewnątrz nocy. Po lewej stronie łóżka z baldachimem znajdowały się kolejne drzwi prowadzące do garderoby lub łazienki.

Głośny trzask zamykanych zewnętrznych drzwi przedziału zwrócił ponownie uwagę Rosalind na handlowca. Gdy się odwrócił, omiół ją szybkim spojrzeniem i zatrzymał wzrok na pudełku w jej rękach. Nie zwrócił uwagi na qipao ani na czerwone kwiaty przypięte do futrzanej narzutki na ramionach. Chociaż pan Kuzniecowa

próbował się zachowywać dyskretnie, zastanawiał się nad przedmiotem przyniesionym przez Rosalind i nad tym, czy jest uzbrojona.

Rosalind uniosła ostrożnie pokrywkę pudełka i zaprezentowała teatralnym gestem jego zawartość.

– To prezent, panie Kuzniecow – powiedziała uprzejmym tonem.  
– Od Szkarłatnego Gangu, który wysłał mnie tutaj, żebym nawiązała z panem znajomość. Czy moglibyśmy chwilę porozmawiać?

Eleganckim ruchem podsunęła handlowcowi pudełko. Znajdowała się w nim niewielka chińska waza z biało-niebieskiej porcelany, ułożona na wyściółce z czerwonego jedwabiu. Stosownie kosztowna. Nie na tyle, żeby budzić zgorzelenie.

Rosalind wstrzymywała oddech, dopóki Kuzniecow nie wyjął wazy z pudełka. Uniósł ją do światła zawieszzonego pod sufitem żyrandola i obracał za szyjkę, podziwiając postaci wymalowane na boku. Po dłuższej chwili, z pomrukiem brzmiącym jak aprobata, podszedł do stolika ustawionego pomiędzy dwoma dużymi fotelami i umieścił na nim podarek. Znajdowały się tam już dwie filizanki, a obok przybrudzona czernią popielniczka.

– Szkarłatny Gang – wymamrotał pod nosem. Ułokował się w fotelu, dotykając sztywnymi plecami tapicerowanego oparcia. – Nie słyszałem tej nazwy od dłuższego czasu. Proszę usiąść.

Rosalind podeszła do drugiego fotela, nałożyła pokrywkę na pudełko i odstawiła je obok siebie. Przysiadła na krawędzi siedziska i jeszcze raz spojrzała szybko na drzwi po lewej stronie. Podłoga się zatrzęsła.

– Zakładam, że jest pani tą samą dziewczyną, która zawracała głowę moim pracownikom. – Kuzniecow przeszedł z rosyjskiego na angielski. – Janie Mead, tak?

Minęły już cztery lata, ale Rosalind nadal nie przywykła do swojego przybranego nazwiska. Prędzej czy później wpakuje się w kło-

poty z powodu tego trwającego ułamek sekundy wahania i pustki w oczach, zanim przypomniała sobie, że powinna się nazywać Janie Mead, a potem momentu potrzebnego na zniekształcenie francuskiego akcentu, z jakim mówiła po angielsku, tak aby mogła uchodzić za dziewczynę wychowaną w Ameryce, jedną z wielu, które powróciły do miasta i wstąpiły w szeregi Kuomintangu.

– Zgadza się – powiedziała spokojnie. Być może powinna zażartować, założyć nogę na nogę i oznajmić, że jej nazwisko warto zapamiętać. Pociąg zakołysał się na nierównych torach, cały przedział zadrżał, a Rosalind nic więcej nie dodała. Splotła tylko dłonie na kolanach, zgniatając chłodną skórę rękawiczek.

Kuzniecowa zmarszczył brwi. Bruzdy na jego czole stały się głębsze, podobnie jak kurze łapki w kącikach oczu.

– Jest pani tutaj z powodu... moich nieruchomości?

– Zgadza się – powiedziała ponownie Rosalind. To był najłatwiejszy sposób grania na czas. Pozwolić drugiej stronie, żeby wysunęła jakieś założenie co do powodów wizyty, i trzymać się tego, zamiast wymyślać na poczekaniu jakieś dziwne kłamstwo i zbyt szybko się w nie zaplątać. – Z pewnością słyszał pan, że Szkarłatni nie zajmują się już handlem gruntami w takim stopniu jak dawniej, odkąd dołączyli do nacjonalistów, ale to szczególna okazja. Mandżuria kryje w sobie ogromne możliwości.

– Wydaje się, że to zbyt daleko od Szanghaju, żeby mogło obchodzić Szkarłatnych. – Kuzniecowa pochylił się do przodu i zajrzał do filiżanek na stole. Jedna z nich była częściowo pełna, więc podniósł ją do ust, żeby zwilżyć wysuszone gardło. – Pani zaś wydaje się trochę za młoda, żeby załatwiać interesy w ich imieniu.

Rosalind patrzyła, jak handlowiec pije. Był odsłonięty i bezbronny, ale nie sięgnęła po broń. Nie miała żadnej przy sobie.



– Mam dziewiętnaście lat – odparła Rosalind i zdjęła rękawiczki.

– Proszę powiedzieć mi prawdę, panno Mead. To nie jest pani prawdziwe nazwisko, zgadza się?

Rosalind z uśmiechem odłożyła rękawiczki na stół. To jasne, że był podejrzliwy. Kuzniecowa nie był zwykłym rosyjskim potentatem prowadzącym interesy w Mandżurii, ale jednym z ostatnich Białych Kwiatów w tym kraju. Samo to wystarczyło, żeby znalazł się na listach Kuomintangu, lecz handlowiec dostarczał także środki pieniężne komórkom komunistycznym, wspierając ich działania wojenne na południu kraju. Ponieważ nacjonałisci musieli pozbyć się komunistów i odciąć ich od źródeł finansowania tak skutecznie, jak to było możliwe, Rosalind została przysłana tutaj z poleceniem... położenia temu kresu.

– Oczywiście, to nie jest moje prawdziwe nazwisko – odparła lekko.

– Moje prawdziwe nazwisko jest chińskie.

– Nie o to mi chodziło. – Kuzniecowa trzymał teraz dłonie po bokach. Rosalind zastanawiała się, czy handlowiec zamierza sięgnąć po ukrytą broń. – Po tym, jak poprosiła pani o spotkanie ze mną, kazałem moim ludziom przyjrzeć się pani. Jest pani zaskakująco podobna do Rosalind Lang.

Rosalind nawet nie drgnęła.

– Potraktuję to jako komplement. Wiem, że może pan nie być na bieżąco z wydarzeniami w Szanghaju, ale Rosalind Lang nie widziano od lat.

Jeśli ktokolwiek by twierdził, że ją widział, z całą pewnością dostrzegłby zjawę – pozostałości rozwianego snu, wspomnienie Szanghaju, którego już nie ma. Rosalind Lang, dziewczyna wychowana w Paryżu, która powróciła do miasta i zdobyła sławę jako jedna z najlepszych tancerek kabaretowych. Rosalind Lang, której miejsce pobytu było obecnie nieznane i którą uznano za zmarłą.

– Słyszałem o tym – powiedział Kuzniecowa i pochylił się, aby znowu przyjrzeć się filizance. Rosalind zastanawiała się, dlaczego nie napił się z tej drugiej, skoro był tak spragniony. Zastanawiała się także, dlaczego w ogóle stało tutaj drugie naczynie.

Cóż, właściwie wiedziała.

Kuzniecowa nagle podniósł głowę.

– Z drugiej strony – ciągnął – wśród Białych Kwiatów krążyły plotki, że zniknięcie Rosalind Lang miało związek ze śmiercią Dimitrija Woronina.

Rosalind zamarła. Zaskoczenie ścisnęło jej żołądek, a z płuc wyrwało się cichutkie westchnienie. Było już za późno, żeby udawać, że nie została wytrącona z równowagi, więc pozwoliła, by cisza się przeciągała. Wściekłość zaczynała się gotować w jej wnętrzu.

Zadowolony z siebie Kuzniecowa podniósł miniaturową łyżeczkę i postukał nią w brzeg filizanki. Dźwięk wydawał się zdecydowanie za głośny jak na to wnętrze. Przypominał wystrzał z pistoletu, eksplozję. Taką jak ta, która cztery lata temu wstrząsnęła miastem, wywołana przez kuzynkę Rosalind, Juliette, która poświęciła własne życie, aby powstrzymać Dimitrija przed dalszym sianiem terroru.

Gdyby nie Rosalind, Juliette Cai i Roma Montagow nadal by żyli. Gdyby Rosalind nie zdradziła Szkarłatnego Gangu, Dimitrij nigdy nie zdobyłby takiej władzy i być może Białe Kwiaty nigdy by się nie rozpadły. Być może Szkarłatny Gang nie dołączyłby do Kuomintangu i nie scaliłby się z partią nacjonalistyczną. Być może, być może, być może – to były wątpliwości, które prześladowały Rosalind w ciągnące się w nieskończoność noce. Bezużyteczne próby skatalogowania wszystkiego złego, co zrobiła i co sprawiło, że znalazła się teraz w tym miejscu.

– Pan wie doskonale, o czym mówiono wśród Białych Kwiatów, nieprawdaż?

Kurtyna się podniosła. Gdy Rosalind się odezwała, w jej ostrym głosie dźwięczał prawdziwy, francuski akcent.

Kuzniecowa skrzywił się i odłożył łyżeczkę.

– To zabawne, ale pozostali przy życiu członkowie Białych Kwiatów mają swoje powiązania, które mogą nas ostrzegać. A ja byłem już od dawna przygotowany, panno Lang.

Drzwi po lewej stronie stanęły otworem. Wyłonił się z nich drugi mężczyzna, w zachodnim garniturze, ze zwyczajnym sztyletem w dłoni. Zanim Rosalind zdążyła się poruszyć, mężczyzna znalazł się za jej plecami i przytrzymał ją na fotelu, kładąc dłoń na jej ramieniu i przyciskając sztylet do gardła.

– Myślała pani, że podróżuję bez ochrony? – zapytał Kuzniecowa.  
– Kto panią przysłał?

– Już panu powiedziałam – odparła Rosalind. Sprawdziła, czy może obrócić głowę. Nie miała na to szansy. Ostrze kaleczyło jej skórę. – Szkarłatny Gang.

– Wojna pomiędzy Szkarłatnym Gangiem a Białymi Kwiatami już się zakończyła, panno Lang. Dlaczego mieliby panią przysłać?

– W geście przyjaźni. Nie spodobał się panu mój prezent?

Kuzniecowa wstał. Splótł dłonie za plecami i zacisnął wargi z irytacją.

– Dam pani ostatnią szansę. Która frakcja panią przysłała?

Starał się wysondować, o którą ze stron prowadzących obecnie wojnę domową w całym kraju może chodzić. Ustalić, czy znalazł się na listach nacjonalistów, czy też komuniści postanowili go zdradzić.

– Tak czy inaczej zabije mnie pan – powiedziała Rosalind. Poczuliła kroplę krwi spływającą po jej szyi. Ściekła po kołnierzyku i zostawiła plamę na qipao. – Po co miałabym tracić czas na odpowiadanie na pańskie pytania?

– Trudno. – Kuzniecow skinął głową ochroniarzowi. Bez cienia wahania przeszedł na rosyjski i polecił: – W takim razie zabij ją. *Bystriej, pażalsta.*

Rosalind się przygotowała. Wzięła wdech i poczuła ostrze muskające jej szyję.

Ochroniarz poderżnął jej gardło.

Pierwszy szok był zawsze najgorszy – ten ułamek sekundy, kiedy prawie nie mogła myśleć z powodu bólu. Jej dłonie machinalnie uniosły się do szyi, żeby zacisnąć się na ranie. Gorąca, płynna czerwień spływała pomiędzy jej palcami, następnie po rękach aż na podłogę przedziału. Kiedy Rosalind osunęła się z fotela na kolana, przyszedł moment niepewności, głos szepczący w jej umyśle, że już dostatecznie długo oszukiwała śmierć i że tym razem z tego nie wyjdzie.

Potem pochyliła głowę i poczuła, że krwawienie słabnie. Jej skóra scalała się na nowo, centymetr po centymetrze. Kuzniecow czekał, aż Rosalind przewróci się bezwładnie na bok, z pustymi oczami wpatrzonymi w sufit.

Zamiast tego podniosła głowę i cofnęła dłonie.

Jej gardło się zbliżyło. Nadal było splamione czerwienią, ale wyglądało, jakby nigdy nic go nie skaleczyło.

Kuzniecow wydał stłumiony dźwięk. Jego ochroniarz wymamrotał coś niezrozumiałego i spróbował podejść do Rosalind, ale gdy ta podniosła rękę, zatrzymał się posłusznie, zbyt oszołomiony, żeby coś zrobić.

– Chyba mogę już panu powiedzieć – oznajmiła Rosalind, lekko zadyszana. Otarła krew z podbródka i podniosła się powoli. – Nie słyszał pan o mnie? Nacjonaliści powinni się bardziej postarać ze swoją propagandą.

Teraz handlowiec zaczął rozumieć. Dostrzegąca to w jego oczach, niedowierzanie na widok tak nienaturalnego zjawiska i powiązanie go z opowieściami, które zaczęły krążyć kilka lat temu.

– Lady Fortuna – wyszeptał.

– Ach. – Rosalind wyprostowała się w końcu i zaczerpnęła swobodnie oddechu. – To błędny pseudonim. Po prostu Fortuna. Łap. – Płynnym ruchem podniosła jedną z rękawiczek, żeby ścisnąć brzeg wazy i poderwać ją ze stolika. Ochroniarz chwycił naczynie, które Rosalind mu rzuciła. Z pewnością szykował się do odparcia ataku, ale waza po prostu wylądowała w jego dłoniach jak dzikie zwierzątko zrobione z porcelany.

Fortuna. Krążyły plotki, że to pseudonim agentki pracującej dla nacjonalistów. Nie byle jakiej agentki, lecz nieśmiertelnej zabójczynie, której nikomu nie udało się zabić pomimo wielu prób, która nie spała ani się nie starzała, która przychodziła do swoich ofiar pod osłoną nocy, w przebraniu zwyczajnej dziewczyny. W zależności od tego, jak bardzo ubarwiano te historie, była nemezis pozostałych przy życiu członków Białych Kwiatów, których odwiedzała z monetą w dłoni. Jeśli wypadła reszka, ginęli od razu. Jeśli wypadł orzeł, mieli szansę uciec, ale do tej pory nie udało się to żadnej ofierze.

– Poczwara z piekła rodem – syknął Kuzniecowa. Cofnął się, żeby zwiększyć dzielącą ich odległość, a przynajmniej spróbować. Nie zdołał zrobić nawet trzech kroków, gdy zwałił się nagle na podłogę. Ochroniarz nadal stał zastygły w szoku, zaciskając dłonie na wazie.

– To trucizna, panie Kuzniecowa – wyjaśniła Rosalind. – Chyba nie taki najgorszy rodzaj śmierci, prawda?

Kończynami mężczyzny wstrząsnęły drgawki. Jego system nerwowy odmawiał współpracy – ramiona zwiotczały, nogi stały się jak papier. Rosalind nie sprawiało to przyjemności. Nie traktowała tego

jako zemsty. Ale skłamałaby, gdyby twierdziła, że wykonywanie tych zleceń nie wydawało jej się czymś właściwym, jakby w ten sposób zmywała swoje grzechy, warstwa po warstwie, aż uda jej się odpowie-dzieć za wszystko, co zrobiła cztery lata temu.

– Ty... – Kuzniecowa dyszał ciężko. – Nie dotknęłaś... herbaty. Patrzyłem...

– Nie zatrulałam herbaty, panie Kuzniecowa – odparła Rosalind. Odwróciła się do ochroniarza. – Zatrulałam wazę, której dotykał pan gołymi dłońmi.

Ochroniarz gwałtownym ruchem cisnął naczynie, które rozbi-ło się koło łóżka. Było już za późno – trzymał je znacznie dłużej niż Kuzniecowa. Rzucił się do drzwi, być może w poszukiwaniu pomocy, a być może po to, żeby zmyć truciznę z rąk, ale on także zwałił się na podłogę, nim zdążył wydostać się na zewnątrz.

Rosalind patrzyła na to wszystko z kamienną obojętnością. Robi-ła to już wiele razy. Plotki mówiły prawdę: czasem przynosiła mone-tę, żeby dodać wiarygodności propagandzie nacjonalistów. Ale jej ulubioną bronią były trucizny, więc nie miało znaczenia, jak dale-ko uciekały ofiary. Kiedy wydawało im się, że są wolne, ich los zo-stał już przesądzony.

– Ty...

Rosalind podeszła do handlowca, chowając rękawiczki do kieszeni.

– Proszę mi oddać przysługę – powiedziała ze znużeniem w gło-sie. – Proszę pozdrowić ode mnie Dimitrija Woronina, jeśli pan go spotka w piekle.

Kuzniecowa przestał rzeźić, przestał się poruszać. Był martwy. Ko-lejna misja wykonana, a nacjonałiści znaleźli się o krok bliżej utra-ty tego kraju na rzecz imperialistów zamiast komunistów. Chwilę póź-niej ochroniarz także znieruchomiał i przedział wypełniła głucha cisza.

Rosalind podeszła do umywalki z boku, odkręciła kran, najbardziej jak mogła, i opłukała ręce. Potem ochlapała wodą szyję i próbowała ją wyszorować palcami. Cała krew należała do niej, ale widok czerwieni w umywalce pozostawiał w jej ustach gorzki posmak, tak jakby splukiwała ze skóry inny rodzaj trucizny, który trawił jej duszę, a nie ciało.

„Łatwiej jest o tym nie myśleć”, mawiała jej kuzynka w czasach, gdy w Szanghaju trwała wojna dwóch zwaśnionych grup przestępczych, a Rosalind była prawą ręką dziedziczki Szkarłatnego Gangu i codziennie patrzyła, jak Juliette zabija ludzi w imię swojej rodziny. „Zapamiętaj ich twarze. Zapamiętaj tych, którym odebrałaś życie. Ale jaki jest sens to roztrząsać? Co się stało, to się nie odstanie”.

Rosalind odetchnęła powoli, zakręciła kran i poczekała, aż rdzawo zabarwiona woda zniknie w odpływie. Od śmierci jej kuzynki niewiele się zmieniło w podejściu Szanghaju do rozlewu krwi. Niewiele poza tym, że gangsterów zastąpili politycy, udający, że mają zapanować jakieś prawo i porządek. To była kosmetyczna zmiana, która nie miała wpływu na nic, co istotne.

Na korytarzu na zewnątrz rozległy się głosy. Rosalind zeszywniała i rozejrzała się szybko po otoczeniu. Nie spodziewała się, żeby skazano ją za popełnione tutaj zbrodnie, ale wołała uciec, zanim będzie miała okazję przetestować tę teorię. Kuomintang samozwańczo stanął na czele kraju i oznajmił, że przejmuje władzę w imię sprawiedliwości. Dla podtrzymania tego wizerunku nacjonałiści byli gotowi poświęcić Rosalind i wyrzec się jej jako agentki, gdyby przyłapano ją na odbieraniu ludziom życia poza granicami miasta, nawet jeśli wszystkie informacje i polecenia pochodziły od powiązanej z nimi tajnej służby.

Rosalind uniosła głowę, naciągając świeżo zaleconą skórę na szyi, i przyjrzała się sufitowi przedziału. Przed podróżą obejrzała plany wa-

gonów, więc kiedy zobaczyła cienki, ledwie widoczny sznureczek zwisający w pobliżu lampy, pociągnęła go i wyjęła panel, odsłaniając metalową klapę wykorzystywaną podczas konserwacji i napraw, prowadzącą bezpośrednio na dach pociągu.

Gdy tylko otworzyła właz, wiatr z szumem wypełnił przedział. Rosalind wdrapała się na stojącą obok szafkę i błyskawicznie opuściła miejsce zbrodni.

– Nie poślizgnij się – napomniała samą siebie, kiedy znalazła się na dachu wagonu i zaczęła szczerkać zębami w lodowatym nocnym powietrzu. – Tylko się nie poślizgnij.

Zamknęła klapę. Na króciutki moment znieruchomiała, żeby zorientować się w sytuacji na szczycie jadącego pociągu. Przez oszałamiającą chwilę kręciło jej się w głowie; miała wrażenie, że zaraz się potknie i spadnie. Potem równie szybko odzyskała równowagę, a jej stopy znalazły pewne oparcie na dachu.

– Tancerka, agentka – szepnęła do siebie Rosalind i ruszyła po dachu pociągu, nie odrywając wzroku od krawędzi wagonu. Jej oficer prowadzący wbił jej do głowy tę mantrę podczas pierwszych dni spędzonych na treningu, kiedy narzekała, że nie potrafi się szybko poruszać ani walczyć jak tradycyjnie wyszkoleni agenci. Wymyślała wymówkę za wymówką, dlaczego nie była dość dobra, żeby się tego nauczyć. Dawniej spędzała każdy wieczór na jasno oświetlonej scenie. Miasto uczyniło z niej olśniewającą gwiazdę, tancerkę, której występ każdy musiał zobaczyć, a rzeczywistość nigdy nie mogła nadążyć za plotkami. Nie miało znaczenia, kim była Rosalind, nie miało znaczenia, że była tylko dzieckiem w błyszczącym stroju. Oszukiwała mężczyzn, uśmiechała się do nich promiennie, jakby byli dla niej całym światem, aż przekazali jej to, na czym jej zależało, a potem przechodziła do innego stolika, zanim muzyka zdążyła umilknąć.



– Pozwól mi skradać się w ciemności i truć ofiary – upierała się podczas pierwszego spotkania z Dao Fengiem. Stali na dziedzińcu uniwersytetu, gdzie Dao Feng pracował pod przykrywką. Rosalind była bardzo niezadowolona, ponieważ panował upał, trawa łaskotała ją w kostki i pot zbierał się pod pachami. – Przecież i tak nie mogą mnie zabić. Po co mi coś więcej?

W odpowiedzi Dao Feng uderzył ją w nos.

– Jezu! – Rosalind poczuła pękającą kość. Poczuła krew spływającą po twarzy, gorący płyn o metalicznym smaku wypełniał także jej gardło i wślizgiwał się na język. Gdyby teraz ktoś ich zobaczył, uznaliby, że jest świadkiem prawdziwej bójki. Na szczęście o tak wczesnej godzinie dziedzińiec był pusty. Właśnie ta pora i to miejsce na wiele miesięcy miały zostać poświęcone na jej trening.

– Właśnie dlatego – odparł Dao Feng. – Jak zdołasz użyć trucizny, jeśli będziesz zajęta regenerowaniem pękniętej kości? Nie po to w tym kraju wymyślono *wùshù*, żebyś miała się go nie uczyć. Byłaś tancerką. Teraz jesteś agentką. Twoje ciało potrafi się obracać i wyginać, wystarczy, że nadasz mu kierunek i cel.

Kiedy wyprowadził kolejny cios, Rosalind z oburzeniem zrobiła unik. Złamany nos zagoił się już ze zwykłą szybkością, ale ucierpiała jej duma. Pięść Dao Fenga trafiła powietrze.

Oficer prowadzący się uśmiechnął.

– Dobrze. Tak już lepiej.

Obecnie Rosalind przyspieszyła kroku, walcząc z wyjąym wiatrem i mamrocząc półgłosem swoją mantrę. Każdy krok dodawał jej pewności siebie. Wiedziała, jak się nie poślizgnąć, wiedziała, co robi. Nikt jej nie prosił, żeby została zabójczynią. Nikt jej nie prosił, żeby opuściła kabaretową scenę i przestała tańczyć, ale gdy umarła i odrodziła się jako poczwara z piekła rodem – jak raczył to ująć Ku-

znieców – potrzebowała nowego celu w życiu. Sposobu na wypełnienie czymś każdego dnia i każdej nocy, żeby nie stopiły się w jeden, nieodróżnialny ciąg.

Może też okłamywała samą siebie. Może postanowiła zabijać, ponieważ nie wiedziała, jak inaczej mogłaby udowodnić swoją wartość. Ponad wszystko na świecie Rosalind Lang pragnęła odkupienia, a jeśli w ten sposób miała je uzyskać, to niech i tak będzie.

Zakasłała i odpędziła dłonią kłęby dymu, w których się znalazła. Silnik parowozu sapał głośno, wypływając niekończący się strumień pyłu i sadzy. Tory ciągnęły się daleko przed pociągiem i znikwały na horyzoncie dalej, niż mógłby sięgnąć wzrok.

W tym momencie jednak poruszenie w oddali zakłóciło monotonię pejzażu.

Rosalind znieruchomiła i spojrzała, zaintrygowana. Nie była pewna, co widzi. Noc była ciemna, wąski sierp księżycy przebłyskiwał bez przekonania pomiędzy chmurami. Jednak latarnie elektryczne ustawione wzdłuż torów całkowicie wystarczyły do oświetlenia dwóch sylwetek, które oddalały się biegiem od torów, żeby zaraz potem zniknąć wśród pól.

Jakieś dwadzieścia lub trzydzieści sekund dzieliło pociąg od miejsca, w którym znajdowali się wcześniej ci ludzie. Gdy Rosalind przeszła na koniec wagonu, spróbowała zmrużyć oczy i wyteńczyć wzrok, przeświadczona, że to wszystko musiało jej się przywidzieć.

Dlatego właśnie nie zauważyła dynamitu, który eksplodował na torach, nim huk wybuchu rozdarł nocne powietrze, a fala gorąca uderzyła ją w twarz.